

## Część 4

Nie opuszczało go wrażenie, że utknął na gigantycznym planie horrendalnie drogiej produkcji filmowej. Panował dzień, choć nie było widać błękitu nieba ani słońca. Stał we wnętrzu sześcianu, niby to akwarium, którego bok liczył około kilometra. Na wszystkich ścianach, również tej nad nim, rysowały się nieregularne połączenia lądu, pełnego półwyspów i zatok. Jego otoczenie było jednak zbyt prawdziwe, by mógł uznać, że ma przed sobą plastikowo-papierowe rekwizyty. Ktoś przeniósł tu wycinek morskiego krajobrazu z jego planety, bezbłędnie rozpisując ten budulec na sześć połączonych ze sobą segmentów, wyposażonych we własne systemy grawitacyjne.

Udał się za młodymi trollami. Dziewczynki pobiegły w stronę parterowego pawilonu o kremowych ścianach, krytego płaskim szarym dachem. Nie miał zresztą wyboru, bowiem brzegiem plaży galopowały dwa centaury i przestraszył się, że trafił na strażników, polujących na kosmicznego rozbitka.

Dotarł do krawędzi segmentu. Uniósł ręce, chcąc się uchwycić rysującego się ponad jego głową występu i nagle poczuł, że akwarium się obraca. Upadł na znajdującą się przed nim trawę. Płaszczynę, którą opuścił, miał teraz za sobą, sterczącą pionowo w górę. „Możesz sobie chodzić po ścianach, a nawet po suficie, a i tak stąd nie wyjdiesz!” — przypomniały mu się gorzkie słowa zdeprawowanego kumpla ze szkolnej ławy, skazanego za gwałt na trzynastolatce i przeszła go myśl, że znalazł

się w stworzonym przez kosmitów wyrafinowanym więzieniu.

Dopiero w tym momencie pojął, że się boi. Nogi się pod nim ugięły. Zabrnął jednak za daleko i nie mógł się tchórzliwie wycofać.

Nie udało mu się zwrócić do kremowego pawilonu i bezpiecznie skryć pod jego dachem. Był już na stopniach lekkich szerokich schodów i usłyszał roześmiane dziewczęce głosy, gdy niespodziewanie wyczuł, że stał się obiektem czyjś niezdrowego zainteresowania. W przestrzeń sześcianu wdarło się coś obcego. Gwałtownie pociemniało. Z przerażeniem się obejrzał. Kotłująca się, gęstniejąca chmura burzowa zbliżała się i rosła przed nim jak zaczarowana, nie wróżąc niczego dobrego.

— Czego tu szukasz, smarkaczu z Gei? — zagrzmiało z obłoku.

Sterczał tam jak głupi, zasłaniając rękami przyrodzenie. Poczł na swym ramieniu delikatną kobiecą dłoń, która pchnęła go do przodu. Odniósł wrażenie, że ktoś niewidzialnie stojący za nim pragnie dodać mu otuchy.

Chcąc nie chcąc, zszedł po schodach. Z chmury wyłoniła się zagniewana twarz. Przybyły szukał dla siebie właściwych kształtów i przed pobielającym z przerażenia Patrickiem przewinęły się pyski potworów, jakich nie powstydziliby się najlepsi producenci horrorów. Wreszcie kosmita przyjął postać ziemskiego starca z białą brodą, żywcem jak w końcowych kadrach filmu „Moja macocha jest kosmitką”.

Postanowił wziąć się w garść.

— Chcę Athenais! — płaczliwie krzyknął do matuzalema.

Obcy zmierzył go niechętnym spojrzeniem, zdającym się sypać skry.

— Nie przeciągaj struny, zarozumiały gówniarzu! — prychnął w odpowiedzi. — I czego jeszcze?

Spoglądał na niego spod krzaczastych brwi jak surowy sę-

dzia podczas rozprawy. Na życzliwą ławę przysięgłych nie było tu miejsca.

— Niczego. Pragnę, by Athenais była moją żoną! — powtórzył z uporem, a jego drżący głos wydawał się powoli nabierać siły.

Starzec zaklął w sposób nie licujący z jego godnością i wiekiem. A potem ponuro zarządził:

— Zmiataj stąd. I to szybko!

Kręcąca się trąba wodna porwała Patricka, unosząc go ze sobą. Znowu zawisł w czarnej czeluści, pozbawiającej go wrażeń. Potem na nowo otaczała go woda. Ta sama siła wypchnęła go na powierzchnię.

Złapał oddech, rozglądając się rozpaczliwie. Świeciło żółte słońce, a jego ponton łagodnie kołysał się w pobliżu, przyczepiony do pomarańczowej boi. Odesłano go do Płycizny Syren.

— Jakie chamy!.. — jęknął z żalem.

Czuł się tak, jakby trafił nie na tę dyskotekę, co trzeba i dostał kopa w tyłek od rosnącego bramkarza. Roztrzęsiony wdrapał się na ponton.

Zlustrował chmurnie otoczenie. Aluminiowym wiosłem wyłowił swoje majtki, osiadłe na pobliskim koralowcu, a potem zaczął zbierać sprzęt do nurkowania. Po kamizelkę z siedmiolitrową butlą tlenową musiał skoczyć do wody, bo opadła na samo dno. Jednak dopiero gdy zaczął wkładać slipy, wcześniej je wyżywając, odkrył, w co naprawdę wdepnął. To było niewyobrażalne draństwo! Struchlały usiadł na drewnianej ławeczce, oglądając swoje stopy. Miał paznokcie takie same jak Athenais i Margaret. Znaczył się na nich lekko błyszczący zrogowaciały wzór, przypominający rybie łuski. Czyżby w jego żyłach — o zgrozo — płynęła teraz krew syren?

Przypomniał sobie cyniczny włoski film „Pieski świat” z powojennego nurtu „mondo” i faceta, któremu w eksperymen-

talnej klinice medycznej zabrano ciało i przyszyto do głowy tułów wieprzka. Czuł się podobnie jak ów pacjent, do cna odarty z człowieczeństwa. Czy jednak powinien był w przypiływie rozpaczy jego śladem wyskoczyć przez okno? Samobójstwa nie brał pod uwagę, bo za bardzo kochał życie.

Uruchomił silnik i ruszył w stronę brzegu. Komórka nie miała zasięgu, ale mógł sprawdzić datę i godzinę. Dzień był ten sam. Tym niemniej słońce sięgnęło zenitu. Nie było go na Ziemi dłużej niż przypuszczał, a w pensjonacie zbliżała się pora lunchu.

Wrócił myślami do niezwykłego sześcianu, zastanawiając się nad jego niezwykłą architekturą. Nie brakowało mu wyobraźni. Mimowolnie założył, że podobnych osiedli było więcej i uderzyło go pewne skojarzenie. Miasta w średniowiecznej Europie miały z racji murów obronnych bardzo ciasną zabudowę. Brakowało powierzchni, co przekładało się na sposób stawiania kamienic. Czy za pomysłem wykorzystania wszystkich ścian akwariium nie kryła się podobna przyczyna? Być może, obcy chcieli maksymalnie upakować zielone osiedla, bo nie dysponowali odpowiednią ilością miejsca. Nasuwał się więc ostrożny wniosek, że syreny umieszczono na ogromnym statku kosmicznym. Alternatywą była dryfująca w próżni stacja badawcza.

— Ogrody zoologiczne! — mruknął z ironią. Zwiedził niedłwie jeden z nich. I co z tego? Nie dostał się do serca systemu.

Dopłynął do przystani i wyłączył silnik. Tak czy siak, przegrał z kretesem i nie miał co do tego ani cienia wątpliwości. Porwał się z motyką na słońce. Powinien był posłuchać starego fizyka i nie przekraczać wyznaczonych mu granic.

**M**iał przerwę na lunch, ale nie był głodny i czuł dziwny wstręt do jedzenia, więc zamiast w ulubionym lokalu wy-

łądował w ocienionej parasolami kawiarence, mieszczącej się na skwerze po przeciwnej stronie ulicy. Była środa. Przed trzema dniami wrócił z Cat Island i powoli odzyskiwał równowagę psychiczną. Na jego rachunek bankowy znowu wpłynęło ponad dwa tysiące dolarów, więc z goryczą wywnioskował, że z punktu widzenia obcych nic złego się nie stało. Ordynarnie mówiąc, kazano mu trzymać się roli dobrze opłacanego żigolaka i nie podskakiwać. W pracy pamiętano o jego urodzinach, co go podniosło na duchu. Usłyszał „Happy birthday to you” i jednym tchem zdmuchnął dwadzieścia pięć świeczek.

— Grunt, to mieć kumpli z klasą! — niemrawo mruknął do stojącej przed nim szklanki z sokiem grejpfrutowym. Mimochodem odnotował, że ostatnio woli rozmawiać z martwymi przedmiotami niż z ludźmi, ostatecznie ze zwierzętami, co zdawało się dowodzić, iż jeszcze nie wrócił do normy. Zdeformowane panny już go tak nie przerażały. Rybi ogon go ominął, sprawdził to już na Bahamach. Kilka razy skakał do wody i nurkował, jednak jego kończyny nie przejawiały skłonności do transformacji.

Kątem oka odnotował, że przysiadła się do jego stolika madonna w szarym dwuczęściowym kostiumie, nie pytając, czy wolne. Zesztywniał, przeczuwając coś niezwykłego i przez kilka sekund nie mógł oderwać oczu od opróżnionej do połowy szklanki. Bał się podnieść wzrok. Wsłuchał się w szum ulicy i klaksony samochodów. Niedaleko była Flagler Street. Wreszcie zlustrował ją z uwagą i oniemiał z wrażenia. Nie wierzył temu, co ujrzał, a oszalałe serce omal nie wyrwało mu się z piersi.

— Athenais, niemożliwe, to ty?! — zapał ze szczęścia. Manna leciała z nieba, a najskrytsze marzenia się spełniały.

Tak, to była ona. Nikt inny. Zgrabna, czarująca i zachwycająca. W gładko uczesane włosy miała wpiętą różową orchideę. Przyglądała mu się niepewnie i jakby z obawą, że nie ucieszy go

jej widok. Uspokoił ją ten wybuch radości.

Zerwał się i dotknął jej ramienia, chcąc się upewnić, że zmysły go nie mylą. Ujął jej dłoń, składając na zdobionych pierścionkiem z turkusem wąskich palcach namiętny pocałunek. Wydawało się, że już jej nie puści.

— Rany?! Skąd się wzięłaś? — impulsywnie zapytał. Mimowolnie obejrzał się na jezdnię. Z wysepki odjeżdżała popielata limuzyna z przyciemnionymi szybami. Nie dostrzegł numeru rejestracyjnego lincolna. Uznał, że to nieważne. Wrócił do niej wzrokiem, czując, że urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

Dziewczyna musiała się uporać z tym, co jej zlecono. Zdjęła powoli z ramienia skórzaną torbę na pasku i wyciągnęła z niej żółtą kopertę, z niewolniczą uległością przesuwając ją w jego stronę. Usiadł na swoim miejscu, zajrzał ciekawie do środka, a potem ją przechylił, wysypując na stolik zawartość. Były tam dwie karty kredytowe, prawo jazdy i szereg innych dokumentów. Wszystkie wystawione na jego uroczą syrenę.

— Nie, to niemożliwe! Cudowne!

Machinalnie przeglądał jej papiery. Wynikało z nich, że jego madonna ma na imię Amanda, a nosi nazwisko Robinson. Były tam akt urodzenia i świadectwo ukończenia szkoły. Do tego ubezpieczenie. Pomyślał, że z takimi dokumentami dziewczyna może szaleć po całym świecie, a przede wszystkim zostać jego żoną.

Podniósł się z kawiarnianego krzesła, musiała też wstać, objął ją i czule ucałował.

— Kocham cię, Athe... Amando! — dmuchnął jej tkliwie do ucha. — Twoi patroni nie są wcale tacy źli. Zostaniesz ze mną? Na zawsze?

— *Forever!* — cicho powtórzyła. Zaczynała radzić sobie z angielskim.

Pomyślał, że zaprzyjaźni się z tym aroganckim typkiem,

który go tak podle potraktował. Wybaczył mu w jednej chwili. Z zapartym tchem obejrzał ją jeszcze raz od stóp do głów. Na nogach miała czółenka open toe na niskim obcasie i zwrócił uwagę na jej paznokcie. Pociągnięte fioletowym lakierem wyglądały tak, jakby zafundowała sobie stylowe tipsy. Taki sam lakier zdobił paznokcie jej rąk.

Objął ją w tali.

— Pójdziemy teraz do mnie, do pracy — wyjaśniał jej czule, starając się wypowiadać słowa powoli i wyraźnie. Kelner podszedł i zapłacił za sok. Z uwagą przyglądała się dokonywanej transakcji i wydawanej reszcie. — Muszę posiedzieć z pół godziny przy komputerze, żeby uporać się z projektem. Potem mogę się urwać. Złapiemy taksówkę i pojedziemy do mnie. To niedaleko. Mam nadzieję, że ci się spodoba moja dziupla. Jest w sam raz dla dwóch osób...

Przytakiwała, godząc się na wszystko, choć nie rozumiała, o czym mówi. Kochała go jak szalona — i tylko to się liczyło. Widział to zresztą w jej cudnych błękitnych oczach. Porywczo pociągnął ją za sobą i w euforii przefrunął z nią przez ulicę, nie zważając na przejeżdżające wozy.

W agencji zachowywała się nienagannie, mimo to siedział jak na szpilkach. Nikt jej nie nagabywał, ani o nic nie pytał. Pełna kultura! Miał straszną ochotę, by wykrzyczeć swą radość. „Czy wiecie, kim ona jest?! To miłość mego życia!” Nie mógł jednak ulegać emocjom. Nie odzywała się, nie zdradzając swego greckiego. Siedziała jak trusia na obrotowym fotelu i starała się nie przyciągać niczyjej uwagi. Spieszył się, jak mógł, a przy tym niecierpliwił się i gorączkował. Nie umiał doczekać się chwili, w której cudna madonna znajdzie się pod jego dachem.

Kiedy wyszli, wywołała awanturę. Umiała się popisywać jak piękna i pełna temperamentu Leeloo z filmu „Piąty element”, co uświadomił sobie już przed miesiącem w chacie Syrenusa.

Złapał taksówkę. Poczula się nagle wyprowadzona z równowagi i podobnie jak na Cat Island zarzuciła go mnóstwem greckich słów, ze świętym oburzeniem przeciw czemuś protestując. Jej orchidea wysunęła się z włosów. Nie chciała wsiąść, jakby nie podobał się jej żółty kolor lub nie odpowiadała jej marka. Patrick w mig się połapał, o co jej poszło. Poniosło ją, bo pomyślała, że chce ją odesłać tam, skąd przybyła. Niepobłażliwy Kubańczyk za kierownicą odwrócił się i rozeźlony zaczął jej po hiszpańsku wtórować. Wyczuł wykołowaną cudzoziemkę. Pyskował nie gorzej niż ona. Szykowało się istne piekło i wydawało się, że bez interwencji policji się nie obejdzie. Ktoś postronny mógłby przecież odnieść wrażenie, że jest świadkiem kidnapingu.

— Sra! pies, to nie ten lincoln, który cię tu podrzucił! — warknął wreszcie do niej przez zęby, nie panując nad sobą.

Zamilkła i wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczyma. Wsiadł i posługując się wylewnie rękami, starał się jej spokojnie wytłumaczyć, dokąd się wybiera. Usiłował jej to objaśnić na migi. Dała się namówić, bo chyba się przestraszyła, że zostanie sama na ulicy. Kiedy taksówka ruszyła, skracając w Flagler Street i kierując się ku zachodowi, zatem w inną stronę niż się spodziewała, pojęła, że niepotrzebnie się piekliła. Mimo to kurczowo trzymała się jego ręki. Oddalali się od oceanu. Zwykle Patrick pokonywał tę trasę autobusem miejskim. Przytulona do niego, przyglądała się nieufnie mijanym wieżowcom, nie dostrzegła jednak, żeby po ich ścianach chodzili ludzie. Było tu inaczej niż w jej rodzinnym akwarium.

Mieszkanie Patricka składało się z przedpokoju, maleńkiej kuchni z oknem, łazienki, salonu, w którym trzymał komputer i sypialni. Weszła za nim i zaczęła się rozglądać.

— *Home!* — oznajmił z błyskiem w oku niczym pan młody po ślubie. — *Spiti.* To jest teraz twój dom. Nasz dom.

— *This is our home* — powoli powtórzyła.